

Agnieszka Kotakowska

KILKA SŁÓW O POJĘCIU AUTORYTETU W KULTURZE

Moim zadaniem jest rozważenie pojęcia autorytetu, czy autorytetów, w kulturze. Niewiele na pozór jest na ten temat do powiedzenia. I w tym przypadku pozory nie mylą. Gdyby ściśle podejść do tego zadania, krótka byłaby moja wypowiedź, bo w mierze, w jakiej je zinterpretowałam, wydaje mi się, że temat ten nie ma sensu: jest nie-tematem, pseudotematem, błędnie postawionym pytaniem. Miałabym więc do powiedzenia właściwie tylko tyle, że pojęcie autorytetu jest w odniesieniu do kultury, szeroko rozumianej, całkiem niestosowne.

Zakładam, że mówiąc o autorytecie w kulturze, nie mówimy o jakichś wspólnych, powszechnie uznanych wartościach, o kanonie czy o tradycjach, do których się odwołujemy i o których możemy powiedzieć, że są dla nas autorytetami w sensie drogowskazów: że wytyczają pewne ścieżki czy służą jako podstawy, na których opierają się nasze myśli i zachowania. Zakładam, że mówiąc o autorytecie, mówimy o ludziach, którzy są z jakichś względów uznani za autorytety. Kanon, tradycja, wspólne wartości, wspólna kultura z nich wyrastająca — to są oczywiście rzeczy jak najbardziej pożądane, choć dziś niestety energicznie w imię „wolności” zwalczane i wszędzie zanikające. Wydaje się, że chodzi tu o coś, co dziś jak najbardziej istnieje, lecz czego istnienie nie jest, moim zdaniem, rzeczą pożądaną. Zakładam też, że mówiąc o autorytecie w sensie osobowym, mamy na myśli to, co potocznie rozumiemy przez to słowo, że zatem rozumiemy przez to osobę, która jest autorytetem lub autorytet posiada, której opinia jest dla nas z jakichś względów istotnym punktem odniesienia: zdajemy się na nią i przyjmujemy ją bez zastrzeżeń. Nie chodzi nam, na przykład, o kogoś, kogo opinia jest dla nas znacząca czy może mieć wpływ, czy którą traktujemy z szacunkiem, poważnie itd., itp. Jeśli o to nam chodzi, zazwyczaj właśnie to mówimy: że szanujemy, traktujemy poważnie czy bierzemy pod uwagę czyjąś opinię.

Nie chodzi nam też, gdy mówimy o autorytecie, o coś w rodzaju wzoru. Na wzór mamy inne słowo: „wzór” właśnie. Powiedzenie o kimś, że jest dla nas

wzorem, to nie to samo co powiedzenie, że jest autorytetem. Wzór jest czymś do emulacji: jeśli, na przykład, moim wzorem w dziedzinie prozy i stylistyki jest Tacyt, znaczy to, że będę się starać pisać jak Tacyt. Nie znaczy to jednak, że Tacyt jest dla mnie jakimkolwiek autorytetem — nawet w dziedzinie prozy. Chociażby dlatego, że nie wypowiadał się na ten temat. (Odpowiedź na pytanie o to, jakie wzory obecnie funkcjonują w kulturze, wprowadzie też byłaby krótka, ale z innych przyczyn: po prostu dlatego, że jest ich dziś — jak mi się wydaje — mało albo nie ma ich w ogóle, nie dlatego, że ich być nie może. I byłoby to inne — innego rodzaju — pytanie). Dlatego też, mimo początkowych wątpliwości, wydaje mi się, że jednak słusznie zidentyfikowałam zadany temat: gdyby bowiem autorytet miał tu znaczyć coś innego, pytanie to byłoby mało ciekawe.

Zakładam też, że przez kulturę mamy na myśli kulturę w dość szerokim, ale nie najszerszym (to znaczy nie antropologicznym), tego słowa sensie, a więc sztukę, literaturę, ale też całą sferę publicznej debaty i najróżniejszych mód i zwyczajów w różnych dziedzinach życia. Można by nawet zdefiniować kulturę w tym szeroko rozumianym sensie jako sferę opinii — w odróżnieniu od wiedzy. I wtedy wystarczyłoby właściwie powiedzieć, idąc za św. Augustynem i za św. Tomaszem („[...] docere nihil aliud est quam scientiam in alio aliquo modo causare”¹), że skoro autorytet, w mierze, w jakiej ma coś wspólnego z nauczaniem, ma coś wspólnego z wiedzą — z przekazywaniem wiedzy przez kogoś, kto ją posiada, komuś, kto jej nie posiada, aby ten ją posiadł — i skoro kultura w tym sensie nie jest sferą wiedzy, czegoś takiego jak autorytet, prawdziwy autorytet, w kulturze nie ma i być nie może. I na tym można by zakończyć, i moglibyśmy wszyscy pójść do domu i zająć się czymś pożytecznym, na przykład czytaniem św. Augustyna.

Postaram się jednak powiedzieć coś więcej: o tym, w jakich dziedzinach kultury, czy może raczej w jakich aspektach kultury, istnieją prawdziwe autorytety. Postaram się, innymi słowy, odróżnić dziedziny, w których może chodzić o prawdziwą wiedzę, wiedzę empiryczną, wiedzę weryfikowalną lub falsyfikowalną, od tych, gdzie takiej wiedzy być nie może i gdzie mogą istnieć jedynie autorytety fałszywe czy pseudo-autorytety. Postaram się wyjaśnić, dlaczego sądzę, że nie są one i nie mogą być prawdziwymi autorytetami, i dlaczego sądzę ponadto, że mówienie o autorytecie czy autorytetach w kulturze — w jej aspektach niezwiązanych z wiedzą — jest wręcz szkodliwe. Innymi słowy, spróbuję powiedzieć, dlaczego prawdziwych autorytetów w kulturze nie tylko nie ma i być nie może, ale też być nie powinno. To, że ich być nie powinno, wynika logicznie z założenia, że ich być nie może, więc powiem raczej: dlaczego nie

¹TOMASZ z AKWINU, *De veritate*, q. 11, a. 1, arg. 4 (*Kwestie dyskutowane o prawdzie*, tłum. A. Aduszkiewicz, L. Kuczyński, J. Ruszczyński, Kęty: Antyk, 1998, s. 506).

tylko fałszywe, lecz wręcz szkodliwe jest przekonanie, że autorytety w kulturze mogą istnieć naprawdę, i tym bardziej przekonanie, że są czymś pożądanym.

Mówimy najczęściej chyba o autorytecie w kontekście społeczno-politycznym (choć mówimy też, oczywiście, o autorytecie w rodzinie czy o autorytecie nauczyciela). I w tym kontekście rozróżniamy autorytet w sensie obiektywnym, czysto opisowym, w sensie posiadania władzy czy siły, możliwości narzucenia czegoś, od autorytetu w sensie subiektywnym i normatywnym, w sensie poważania czy szacunku, jakim kogoś darzymy. Możemy stwierdzić, na przykład, że ktoś jest faktycznie uważany za autorytet, ale że nie jest to uzasadnione. Na ogół jednak używamy tego słowa w sensie normatywnym i pozytywnym: rzadko mówimy, na przykład, że „niestety ten a ten jest autorytetem w takiej a takiej sprawie”. Powiedzielibyśmy raczej, że „niestety ten a ten jest uznawany za autorytet w takiej a takiej sprawie”. Mówimy też czasem, że ktoś jest czymś autorytetem czy autorytetem dla kogoś, co też sugeruje, że ten ktoś niekoniecznie jest autorytetem dla nas, a zatem że niekoniecznie jest on prawdziwym autorytetem, autorytetem w sensie obiektywnym. W kontekście kultury — a więc w kontekście sfery opinii, nie sfery wiedzy — sytuacja, w której ktoś jest dla kogoś autorytetem czy ma dla kogoś autorytet, wydaje mi się niepożądana i szkodliwa.

Wydaje mi się, nawiasem mówiąc, że tak brzemienne w znaczenia w okresie istnienia Republiki rzymskiej łacińskie słowo *auctoritas*, obejmujące szacunek, poważanie, wiedzę, uzasadnione wywieranie wpływu, funkcjonujące także w kulturze, nie tylko w polityce, z początkiem cesarstwa straciło swoje szersze znaczenie i od tego momentu było powiązane tylko z władzą: August, na przykład, miał *auctoritas* jako cesarz dzięki władzy, jaką dysponował. Ta *auctoritas* nie była tym samym, co za czasów Republiki; szerokie znaczenie tego słowa, które funkcjonowało także w kulturze, po upadku Republiki chyba zanikło. Można zaryzykować śmiało twierdzenie, że od tego czasu — od czasu Republiki rzymskiej — nie było w kulturze prawdziwej *auctoritas*.

Święty Augustyn (dalej nawiasem mówiąc) w *De utilitate credendi*, pisząc o różnicy między wiedzą (*intellegere*), przekonaniem czy wiarą (*credere*) a opinią czy mniemaniem (*opinari*), bardzo źle się wyraża o tym ostatnim: o ludziach, którzy poprzestają na opinii czy mniemaniach, nie próbując uzyskać wiedzy. Najgorsi zaś, jego zdaniem, są ci, „qui se arbitrantur scire quod nesciunt” (którzy sądzą, że wiedzą coś, czego w istocie nie wiedzą). Przy okazji można też zauważyć, że dla św. Augustyna *scientia* zdaje się równoznaczna z *intellegere*: wiedzieć coś naprawdę to znaczy to coś rozumieć. Tak zdaje się wynikać z *De utilitate credendi*. I dlatego uważa on w *De magistro*, że wiedzy nie można przekazać, można jedynie wysiłkiem własnego rozumu do niej dojść — w sprawach religijnych oczywiście z pomocą łaski boskiej. Nie można bowiem przekazać

zrozumienia, można tylko samemu do niego dojść². (Co też ładnie się łączy i bynajmniej się nie kłóci z jego słynnym „credo ut intelligam”). W każdym razie św. Augustyn w *De magistro* nie potępia przekonania — *credere* — które by spoczywało na dostatecznych podstawach. Takimi podstawami może być autorytet — jakiś prawdziwy, godny zaufania autorytet: „Quod scimus igitur debemus rationi, quod credimus auctoritati” (to zatem, co wiemy, zawdzięczamy rozumowi, nasze przekonania zaś — autorytetowi)³.

Wspominam o tym przede wszystkim dlatego, że sądzę, iż św. Augustyn ma rację, i to nie tylko w kontekście wiary. I ma rację, potępiając jako zło moralne lenistwo umysłowe i przyjmowanie opinii bez zadania sobie trudu poszukania dobrze ugruntowanego uzasadnienia. Opinia w tym sensie jest dla niego zawsze potępienia godna: „numquam sine vitio”⁴. Ma on też rację, mówiąc, że nie jest potępienia godne, jeśli ktoś ma o czymś jakieś przekonanie, ale wie (rozumie), że nie posiada na ten temat prawdziwej wiedzy⁵. W takim przypadku nie ponosi on winy. Ale ma też św. Augustyn oczywiście rację, gdy trochę dalej⁶ mówi o społecznej roli autorytetu, na przykład autorytetu rodziców.

Wracam do autorytetu w dzisiejszej kulturze. W polityce odróżniamy autorytet, który ma jakąś legitymację, od autorytetu, który jej nie ma i polega wyłącznie na władzy i sile, na dysponowaniu możliwością narzucenia swojej woli. Ale w kulturze — jako sferze opinii — nie ma i nie może być czegoś takiego jak legitymacja. Autorytet prawdziwy w kulturze zależeć musi od posiadania pew-

²Na temat pojęcia wiedzy u św. Augustyna zob. M.F. BURNYEAT, *The Inaugural Address: Wittgenstein and Augustine De Magistro*, „Proceedings of the Aristotelian Society”, Supplementary Volumes, 61 (1987), s. 1–24.

³AUGUSTYN, *De utilitate credendi*, 11,25 (*O pożytku wiary*, tłum. J. Sulowski, Warszawa: Akademia Teologii Katolickiej, 1990, Pisma Starochrześcijańskich Pisarzy, 54, s. 54), potwierdza to także później w *Retractationes* I.13.3 (*Sprostowania*, tłum. J. Sulowski, Warszawa: Akademia Teologii Katolickiej, 1979, Pisma Starochrześcijańskich Pisarzy, 22, s. 215).

⁴AUGUSTYN, *De utilitate credendi*, 11,25: „Tria sunt alia hominum genera, profecto improbanda ac detestanda. Unum est opinantium, id est, eorum qui se arbitrantur scire quod nesciunt. Alterum eorum qui sentiunt quidem se nescire, sed non ita quaerunt, ut invenire possint. Tertium eorum qui neque se scire existimant, nec quaerere volunt. Tria sunt item velut finitima sibimet in animis hominum distinctione dignissima: intellegere, credere, opinari. Quae si per se ipsa considerentur, primum semper sine vitio est; secundum, aliquando cum vitio; tertium, numquam sine vitio” (*O pożytku wiary*, s. 54: „Ponadto istnieją trzy inne gatunki ludzi oczywiście, których nie można pochwalić, a należy zganić. Pierwszy rodzaj ludzi wygłaszających opinie, którzy uważają, że znają to, czego nie wiedzą. Drugi tych, którzy wprawdzie czują, że nie wiedzą, ale nie szukają w taki sposób, żeby mogli odnaleźć. Trzeci takich, co to ani siebie nie uważają za nieznających, ani nie chcą szukać. Zachodzą zatem trzy graniczące ze sobą stany w umyśle ludzkim, godne dokładnego rozgraniczenia: zrozumieć, uwierzyć, przypuszczać. Rozważane same w sobie, pierwsze jest zawsze nienaganne, drugie czasami naganne, trzecie nigdy nie pozbawione błędu”).

⁵Tamże: „si quis quid credit, si se id nescire intellegat, nulla culpa est”.

⁶Tamże, 12,26.

nej wiedzy empirycznej i pewnych kwalifikacji w danej dziedzinie. Na przykład: prawdziwy autorytet w swojej dziedzinie może mieć ktoś, kto jest (uznanym przez innych w tej dziedzinie) wybitnym specjalistą od perskich miniatur albo chińskiej porcelany z epoki Ming, albo średniowiecznych rękopisów, albo włoskiego malarstwa wczesnego renesansu. Do takich ludzi udajemy się po radę, gdy chcemy, na przykład, wiarygodnego zdania na temat jakiegoś obrazu: gdy chcemy wiedzieć, czy jest autentyczny albo z jakiej pochodzi epoki, albo kto mógł go namalować. Tacy ludzie mogą być przez nas uznani za autorytety w swojej dziedzinie, ponieważ w dziedzinach wiedzy empirycznej obowiązują pewne kryteria; ale w kulturze, w sferze opinii, żadne takie kryteria nie obowiązują. Ktoś może być mniej lub bardziej wpływowym krytykiem literackim czy filmowym, albo krytykiem sztuki, ale nie ma większych kwalifikacji niż inni, by nam mówić, co mamy o sądzić o jakimś dziele literackim czy filmie, czy dziele sztuki. A raczej: większe kwalifikacje może i ma, i polegają one, w przypadku krytyka literackiego, na solidnej wiedzy o literaturze, wieloletnim uważnym czytaniu i dobrze wyszkolonym i wyrobionym zmysle krytycznym; w ostatnich latach wciąż słyży się lamentacje, że dziś, wskutek internetu, „każdy może być krytykiem literackim”, i choć ten stan rzeczy — ta demokratyzacja krytyki — ma pewne zalety, zawodowy krytyk literacki niewątpliwie nadal ma ważną rolę do odegrania i chętniej ufamy jego opiniom niż opiniom anonimowych czytelników. Nie znaczy to jednak, że jest prawdziwym autorytetem.

Możemy więc z uzasadnieniem mówić o autorytetach w poszczególnych dziedzinach wiedzy empirycznej — o ekspertach w jakiejś dziedzinie. Gdy jednak mówimy ogólnie o autorytetach w kulturze, w sferach, gdzie nie chodzi o wiedzę empiryczną, mówimy bezpodstawnie, bo tam ekspertów nie ma i być nie może. Mimo to niestety często mówi się o „ekspertach” w dziedzinie kultury, i tacy „eksperci” bywają przez niektórych uznawani za prawdziwe autorytety. Więc gdy mówimy o autorytetach w kulturze — owszem, prawdą jest, że słowo to odzwierciedla także sytuację faktyczną: mówimy wtedy o ludziach uznawanych za autorytety przez jakąś część społeczeństwa. Taką sytuację powinniśmy jednak potępiać, nie akceptować jako normalną, ponieważ nie są to i nie mogą być w żadnej mierze prawdziwe autorytety.

Ponadto, autorytet eksperta w danej dziedzinie empirycznej wiedzy nie przekłada się na inne dziedziny. Nie pójdziemy do autorytetu w dziedzinie perskich miniatur ani malarstwa wczesnego renesansu, by zaczerpnąć od nich wiedzy na temat wartości jakiegoś dzieła literackiego. Z dwójakiego powodu: nie tylko dlatego, że nie jest to ich dziedzina, lecz także dlatego, że tak czy inaczej kwestia wartości jakiegoś dzieła literackiego nie należy do sfery wiedzy, lecz do sfery opinii jedynie (choć oczywiście można tu mówić o sferze przyjętych wartości i kanonu). Można też zauważyć, że często ludzie, którzy naprawdę na czymś

się znają, naprawdę mają wiedzę w jakiejś dziedzinie, wcale nie życzą sobie, by uznawano ich za autorytety w innych dziedzinach. I odwrotnie: na ogół najchętniej przyjmują etykietkę „autorytetu” i wypowiadają się jako „eksperci” na każdy temat ci właśnie, którzy nie znają się na niczym, nie mają prawdziwej wiedzy w żadnej dziedzinie. Podobnie jest z ludźmi, którzy samych siebie uważają za autorytety: sama ich akceptacja tej roli budzi wątpliwość, na ogół uzasadnioną. Tacy ludzie też chętnie akceptują rolę autorytetów moralnych.

Coraz częściej spotykane dziś zjawisko samozwańczych „autorytetów” i „eksperatów” wypowiadających się na każdy temat jest nie tylko absurdałne, lecz niezmiernie szkodliwe. Także, a może nawet szczególnie, dla tych, którzy ich słuchają i takie autorytety akceptują. Trudno wątpić, że jest to czymś, co św. Augustyn, i (w filozoficznej tradycji na temat wiedzy i mniemania, ciągnącej się od Platona) nie tylko on, by potępił. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, gwiazdy rockowe o mózdkach kuropatwy, gwiazdy futbolowe, aktorzy, celebryci wszelkiej maści wypowiadają się na wszelkie możliwe tematy i są uznawani za autorytety we wszelkich możliwych dziedzinach — a także czasem, czy może nawet najczęściej, za autorytety moralne. Kiedyś takich ludzi nazywano „guru”; teraz nazywa ich się „autorytetami”, bo to lepiej brzmi. Ich opiniami — opiniami bez większej wartości niż inne — kierują się ludzie, którzy nie chcą sobie zadać trudu samodzielnego myślenia. Jest to (dla nich) sytuacja bardzo wygodna. Jednak podwójnie godna potępienia. Po pierwsze dlatego, że bezmyślnie przyjmują oni jako prawdę opinię od jakiegoś „autorytetu”, a więc, innymi słowy, myślą, że posiadają wiedzę, nie posiadając jej naprawdę ani nawet jej nie szukając. Po drugie dlatego, że te tak zwane autorytety same najczęściej nie trudziły się próbą uzasadnienia swoich opinii ani szukania wiedzy, i też sądzą, że wiedzę posiadają, nie posiadając jej wcale. To zaś jest, jak pisze św. Augustyn, „nunquam sine vitio”: zawsze zasługuje na potępienie. Można powiedzieć ogólniej — i św. Augustyn chyba by się z tym zgodził — że „nunquam sine vitio” jest rezygnowaniem z niezależnego myślenia i z posługiwania się rozumem, którym Pan Bóg nas obdarzył. Mówiąc jeszcze ogólniej, dziedzina zwana etyką przekonań (*ethics of belief*) jest dziedziną, która zwłaszcza dziś woła do niebios o to, byśmy znów poważnie się nią zajęli, podkreślając moralny aspekt procesu uzasadniania naszych przekonań i mniemań. Niemodne jest dziś podkreślanie tego obowiązku etycznego krytycyzmu (czy raczej: można sobie wyobrazić, że niemodne by było, gdyby ktokolwiek podjął taką próbę); ale staranie się o to, by jak największy procent naszych przekonań był zgodny z prawdą, jest także obowiązkiem moralnym, nie tylko intelektualnym.

Wiemy, że autorytety odgrywają pewną rolę społeczną, i nie tylko tę, o której wspomina św. Augustyn. Tak samo, jak pogląd na jakąś sprawę przejęty od kogoś (od autorytetu) też odgrywa rolę społeczną, skoro — jak często słyszymy,

od socjologów i innych „specjalistów”, w tym także, nota bene, „autorytetów” — daje nam miłe i ponoć ważne poczucie wspólnoty, pozwala się z czymś utożsamiać. Nie jestem jednak pewna, czy jest to dobrą rzeczą. Powiem nawet, że jest to, moim zdaniem, rzeczą złą i że także w tej roli autorytet w kulturze szkodzi. Zwłaszcza że — co ważniejsze wśród szkodliwych skutków, o których mowa — tam, gdzie w kulturze istnieje autorytet, niechybnie powstaje też swego rodzaju kulturowe pojęcie herezji. A wraz z nią potępienie i zwalczanie tych, którzy się z danym autorytetem nie zgadzają czy nie chcą go za autorytet uznać. Zbiorowe potępienie i zwalczanie „niewiernych” danemu autorytetowi (często dziś w Polsce spotykane zjawisko) też dostarcza miłego poczucia tożsamości. Być może nawet, jak to często bywa w przypadku negatywnych zjawisk tego typu, daje silniejsze poczucie więzi niż pozytywna akceptacja autorytetu. Co więcej, doznawszy tego miłego poczucia grupowej więzi i tożsamości, często nie chcemy go stracić i ulegamy pokusie, by w coraz większej liczbie kwestii i sfer życia — moralnych, intelektualnych, politycznych, społecznych — zdać się całkowicie na jakiś modny autorytet. O ileż to łatwiejsze i przyjemniejsze niż niezależne myślenie. Tak więc wspólna akceptacja autorytetów oraz kontestacja heretyków sprawia, że jesteśmy jeszcze mniej skłonni myśleć niezależnie i starać się uzasadniać nasze przekonania. Przeciwnie, raczej stronimy od samodzielnego myślenia, bo skutki mogłyby się okazać nieprzyjemne: mogłyby ten autorytet podważyć i zburzyć to nasze przyjemne, bezmyślne, bezpieczne życie.

Przez wieki proces zwalczania herezji przez Kościół był niezwykle twórczy i bogaty w teologiczne skutki; prowadził do wysiłku przemyślenia, nowego określenia, nowych definicji, zmagania się z filozoficznymi i teologicznymi problemami. Ale o naszej sferze publicznej dziś raczej nie można tego powiedzieć. Niestety nie jest tak, że zwolennicy jakiegoś autorytetu, chcąc zwalczać heretyków, pochylają się na nowo nad spornymi kwestiami i rozwijają swoją myśl, zastanawiają się nad swoimi racjami, szukają nowych argumentów. Nie jest też tak w przypadku samych tych autorytetów. Gdyby tak było, można by powiedzieć, że pojęcie autorytetu w kulturze czemuś służy, że ma jakieś dobre skutki. Tak jednak nie można powiedzieć. Przeciwnie: proces zwalczania heretyków, to znaczy tych, którzy sprzeciwiają się jakiejś obowiązującej dziś, na ogół politycznie poprawnej, ortodoksji, nie tylko zniechęca do samodzielnego myślenia, lecz wręcz je uniemożliwia. Wiemy, jak bardzo szkodliwa i niszcząca społeczeństwo, a także kulturę, może się okazać ta niby-jednocząca społeczna rola autorytetu. Walka z herezją może dostarczyć miłego poczucia zjednoczenia i tożsamości, ale dziś, w kontekście autorytetów w kulturze, jest to zjednoczenie w poczuciu satysfakcji i moralnej wyższości nad „kulturowymi heretykami”; ale nie jest to zarazem przekonanie o jakichś wspólnych wartościach, które warto krzewić.

Gdy myślimy o przykładach ludzi uznawanych dziś za autorytety w kulturze, szeroko pojętej, jakiego rodzaju postacie przychodzą nam na pierwszym miejscu do głowy jako przykłady? Przychodzą do głowy przede wszystkim krytycy z różnych dziedzin — literatury, filmu, teatru — którzy wywierają duży wpływ. Trudno jednak powiedzieć, czy i dla ilu naprawdę są oni autorytetami, w takim sensie, że ludzie bezkrytycznie przyjmują ich opinie. Przypuszczam, że dla niewielu. Można najwyżej powiedzieć, że niewątpliwie przyczyniają się do dużego wzrostu sprzedaży książek, o których mówią z aprobatą, i biletów na filmy, które pozytywnie recenzują. Można wymienić, z dziedziny literatury, Marcela Reicha-Ranickiego albo niegdyś we Francji Bernarda Pivota. Z dziedziny filmu w Ameryce kiedyś niezwykle wpływowa była Pauline Kael. Nie są to jednak autorytety w prawdziwym, ścisłym tego słowa znaczeniu, o którym była tu mowa.

Warto zauważyć, że autorytet w kulturze nie jest czymś stałym. Jest czymś, co zmienia się z modą. Jest i przemija, a na jego miejsce przychodzi jakiś inny, który może głosić coś przeciwnego. To jest oczywiste i prowadzi do kolejnej konstatacji, też oczywistej, ale właśnie dlatego wartej wypowiedzenia, mianowicie, że autorytet w kulturze jest jedynie kwestią mody.

Kogo jeszcze można by wymienić jako przykład autorytetu w kulturze? Wydaje mi się, że są to tylko władcy — ci, którzy cieszą się autorytetem bez legitymacji — albo guru. Z tych pierwszych przychodzi od razu na myśl Stalin. Albo Żdanow. Nie są to najlepiej kojarzące się postacie. Przychodzi też na myśl historyjka o cesarzu, który miał oświadczyć, że Mozart ma za dużo nut; albo o arcyksiężniczce, która ponoć wyszła z przedstawienia *Zauberflöte* z okrzykiem: „deutsche Schweinerei!”, ponieważ była zdania, że prawdziwa opera może być tylko po włosku. Tego typu postacie, dysponujące władzą, która pozwalała im narzucać swoje upodobania, miały prawdziwy, choć ograniczony wpływ, i w takim sensie były de facto autorytetami. Byli w końcu tacy, co naprawdę uznawali autorytet Stalina w dziedzinie kultury. Tak samo, jak naprawdę wierzyli, że jest wielkim językoznawcą. I zawsze znajdują się ludzie, którzy w jakiś samozwańczy autorytet uwierzą.

Szczególnie szkodliwe może być w kulturze pojęcie autorytetów moralnych. Że szkodliwy może być wpływ ludzi, aspirujących do statusu autorytetu moralnego i chętnie akceptujących taką rolę — to jest chyba oczywiste. Posunęłabym się jednak dalej, i zapytałabym, czy samo pojęcie autorytetu moralnego nie jest rzeczą szkodliwą, a przynajmniej niebezpieczną. Tylko dwie postacie przychodzą natychmiast do głowy jako prawdziwe autorytety moralne, gdy o takich autorytetach myślimy, mianowicie Sokrates i Chrystus. (Ale nawet w przypadku Sokratesa powiedzielibyśmy chyba, że autorytetem dla nas mogą być zasady moralne, którymi się kierował, nie zaś on sam. I wysoce dyskusyjne jest, oczywiście,

czy wszystkie z nich powinny być przez nas przyjęte). Gdy myślimy o innych postaciach, które uchodziły w dziejach świata za wielkie autorytety moralne — mam na myśli świeckie autorytety, szeroko przyjęte jako takie w kulturze, nie autorytety religijne, przyjęte jako takie we wspólnotach religijnych, jak na przykład wielki rabin czy cadyk — nie przychodzi do głowy nikt, kto by na to miano zasługiwał; nikt, o kim można by powiedzieć, że jego wpływ nie był nigdy szkodliwy ani niebezpieczny. Jako jeden z pierwszych wśród przykładów postaci, szeroko przyjętych w kulturze jako autorytety moralne, przychodzi do głowy Gandhi — postać pod wieloma względami okropna i obłudna, o ogromnym i niezwykle szkodliwym wpływie, który trwa do dziś. W Polsce obserwujemy zjawisko — zapewne nie jest ono do Polski ograniczone, ale gdzie indziej się z nim nie spotkałam w tym stopniu — wynoszenia znanych postaci w jakiejś dziedzinie kultury do rangi autorytetów moralnych. Za przykłady mogą tu służyć postacie takie, jak Andrzej Wajda czy Zygmunt Bauman. Dla niektórych stają się oni rodzajem guru, rozstrzygających ostatecznie o tym, co dobre, a co złe, jak należy myśleć, na kogo należy głosować, co i kogo należy potępiać, a co i kogo wspierać, co należy czynić, a czego nie wolno. Jest to zjawisko w dużej mierze polityczne — jak zresztą zjawisko Gandhiego.

Nikt w świecie kultury na miano autorytetu moralnego nie zasługuje i zasłużyć nie może. Nikt nie może zdjąć z nas obowiązku — moralnego obowiązku — samodzielnego myślenia i pytania, czy nasze przekonania są uzasadnione. Możemy, owszem, z uwagą wysłuchać opinii ludzi, których szanujemy, których życie czy zachowanie w pewnych sytuacjach podziwiamy, nawet uważamy za rodzaj moralnego wzoru, ale ci ludzie nie mogą być dla nas wyrocznią. Niestety, dla wielu dziś istnieją takie wyrocznie, a co więcej — wyrocznie te ochoczo taką rolę akceptują. Może zawsze istniały? Może tylko się nam wydaje, że dziś jest gorzej?

agnkolakowska@gmail.com

A FEW WORDS ON THE IDEA OF AUTHORITY IN CULTURE

S U M M A R Y

This article explores some aspects of the idea of authority in culture. It considers the various meanings and uses of the word “authority” and briefly looks at aspects of the history of the concept of authority, especially under the Roman

Republic, and at the way in which the word later lost its range of meanings and became associated with power and influence. It considers some passages of Aquinas and Augustine on the relationships which can obtain between authority, knowledge and opinion, and ventures a partial definition of culture as a sphere of opinion rather than knowledge. It discusses the ways in which the manipulation of the concept of authority, and the pseudo-authority exerted by culturally influential figures, especially when these are accepted as “moral authorities,” can be culturally and socially damaging. It concludes that authority in the proper sense can play no role in those aspects of culture which belong to the sphere of opinion.